Zrealizowano w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Fragment powieści *Mur*

Plac szybko pustoszał. Posuwaliśmy się gęsiego – masa ludzka podzielona na dziesiątki potoków, każdy płynący w swoją stronę. Minąłem wielką tablicę z podobizną Jakuba Martensa. Hasło wypisane wielkimi literami przypominało o zbliżającej się dwudziestej szóstej rocznicy Wielkiej Zmiany. Blady jak sama śmierć Jakub Martens prawą rękę przyciskał do piersi, ale krew z ran postrzałowych lała się strumieniami i jego minuty były policzone.

Za tablicą skręciłem w lewo. Paliły się wszystkie latarnie i było widno jak w dzień. Podążałem znajomym chodnikiem, kierując się do kompleksu bloków mieszkalnych w sektorze C. Utrzymywałem równy krok, by zachować stałą odległość między idącymi za mną i tymi w przodzie. Lewa, prawa, lewa, prawa. Jeden, dwa, jeden, dwa. Dwa to dobra liczba. Bliska ideałowi.

Przekraczając bramkę sektora C, wstrzymałem oddech. Brzęczyk zamruczał, w górze zapaliła się zielona lampka, a pod stopami wyświetlił się napis: „WITAJ W DOMU. BLOK C4 KLATKA 26”. Ruszyłem dalej. Nogi same mnie niosły, jakby ktoś zdjął mi z pleców ciężar. Choć od siedemnastu lat kilka razy dziennie przechodziłem przez bramkę, to strach nigdy mnie nie opuszczał; zupełnie irracjonalny, przekonywałem sam siebie, bo prawdopodobieństwo, że pomylę sektory, tym samym uruchamiając alarm i ściągając sobie na kark strażników, było bliskie zeru.

W świetle latarń szare bryły domów mieszkalnych przybrały ciemnobrunatny kolor. Niskie i zwaliste, pozbawione okien, ciągnęły się w dwóch długich rzędach, bliźniaczo podobne do budynków w sąsiednich sektorach. Przed rocznicą Wielkiej Zmiany odnowiono hasła zdobiące zewnętrzne ściany, tu i ówdzie dodano nowe. Dach każdego budynku wieńczył Katalog Trzech Praw, sporządzony wielkimi literami, by nawet z daleka można było przeczytać: „PRAWO DO ŻYCIA”. „PRAWO DO SZCZĘŚCIA”. „PRAWO DO ŚMIERCI”. Przyglądałem się im często, a jeszcze częściej o nich rozmyślałem. Chyba w przekonaniu, że powiedzą mi coś o moim życiu i o mnie samym.

Zostawiłem za sobą dwa pierwsze bloki sektora C. Zza zwalistej bryły C3 wyłaniała się bliźniacza sylwetka C4. Pochód idących przede mną zdążył się przerzedzić. Ci, którzy zostali, kierowali się, tak jak ja, do C4. Niektórych poznawałem po plecach; choćbym jednak nie wiem jak się starał, nie potrafiłem przypomnieć sobie żadnej twarzy.

Posuwaliśmy się w milczeniu, jeden za drugim.

Jeden to liczba idealna.

Od domu, w którym mieszkam, dzieliło mnie kilkanaście kroków. Trzy czwarte bocznej ściany zajmował malunek postaci o niezbyt dobrze dobranych proporcjach. Miała rysy Jakuba Martensa, ale w białym, znoszonym kombinezonie wyglądała jak każdy z tysięcy robotników pracujących przy Murze. Ręka z kielnią wskazywała napis: „JEDEN TO POSTĘP. JEDEN TO JEDNOŚĆ. JEDEN TO SIŁA”.

Skręciłem w prawo. Widziałem już cały budynek od frontu; dokładnie pośrodku, wymalowane fosforyzującą farbą, by również w nocy można je było przeczytać, znajdowało się hasło tegorocznych obchodów rocznicy Wielkiej Zmiany: „JEDEN TO CAŁOŚĆ”.

Spojrzałem w niebo, tam, gdzie przesłonięty skrajem chmury księżyc wyglądał jak ucięty nożem.

Wtedy właśnie tuż za sobą usłyszałem:

Niezłą szopkę nam urządzili, co?

Wtuliłem głowę w ramiona. Musiałem się przesłyszeć, wmawiałem sobie, pilnując się, by nie ulec instynktowi i nie przyspieszyć.

Z tyłu znowu dobiegł mnie szept:

Nie mówiłem, że go znajdą? Zawsze znajdują.

Ten sam głos, który słyszałem na placu apelowym!

Ale ty chyba nie dałeś się nabrać? Zaśmiał się, potem rozkasłał. Masz więcej oleju w głowie niż inni. Od dawna cię obserwuję.

Wiele mnie kosztowało, żeby nie puścić się biegiem. Jeśli to prowokacja strażników, to tylko czekają na pretekst. Jeszcze gorzej, gdyby któryś z ludzi Sędziego wystawiał mnie na próbę. Byle nie stracić panowania nad sobą! Jeżeli się nie odwrócę albo nie zacznę biec, mam szansę wyjść z tego cało.

Drzwi do klatki 26 otworzyły się na krótko, wpuszczając kolejnego lokatora. Zamknęły się z powrotem, ale kwadratowy czytnik na prawo od nich wciąż świecił na czerwono. Przede mną nie było już nikogo. Zwolniłem, zatrzymałem się na wprost wejścia i odczekawszy, aż czerwone zmieniło się na zielone, przyłożyłem kciuk lewej ręki do kwadratu czytnika. Ledwo metalowe drzwi się rozsunęły, wślizgnąłem się do środka. Tak jak nakazywał regulamin, korytarz był pusty, wszystkie mieszkania pozamykane. Chociaż wiedziałem, że obserwują mnie kamery, odważyłem się zerknąć przez ramię. Nikt za mną nie szedł.

Stanąłem pod drzwiami mojego mieszkania. System identyfikacyjny zweryfikował informacje zapisane na płytce w kciuku i drzwi się otworzyły. Na miękkich nogach przekroczyłem próg. W tyle głowy narastał pulsujący ból. Nie zapalając światła, odszukałem prostokątną wypukłość w ścianie przedpokoju i przyłożyłem tam nadgarstek. Po kilku sekundach MedTest cicho zapikał, wyświetlacz rozjarzył się na niebiesko i od góry do dołu zaczęły się przesuwać rzędy pulsujących liczb. Ciśnienie 130 na 90, tętno 84, temperatura ciała 36,6 stopni, praca serca prawidłowa – rytm zatokowy, skład krwi również w normie.

Przeszedłem do pokoju. Zajmujący jedną trzecią ściany Ekran włączył się w reakcji na moją obecność. Obrazowi nie towarzyszył dźwięk. Starałem się uspokoić oddech i patrzyłem. Można by pomyśleć, że po śmierci szklany pojemnik stał się dla topielca za ciasny, bo ten leżał zwinięty w kłębek. Długo przyglądałem się podeszwom jego stóp. Nie, wzrok mnie nie mylił. Zdjąłem cuchnący moczem kombinezon, wróciłem do przedpokoju i wrzuciłem ciasno zwinięty pakunek do ściennego zsypu na brudne ubrania. Upewniwszy się, że poleciał w dół szybu, poszedłem do łazienki.

Podeszwy stóp topielca były gładkie, bez śladów nacięć ani oparzeń. Zmywając pod strumieniem prysznica brud i pot zmieszany ze smrodem uryny, miałem o czym rozmyślać. Próbowałem usunąć obraz z pamięci, bo przeczuwałem, że nic dobrego dla mnie z tego nie wyniknie.

Wytarłem się do sucha i z ręcznikiem wokół bioder przeszedłem do aneksu kuchennego. Wyjąłem z lodówki popołudniową porcję. Po namyśle dorzuciłem wieczorną i obie wstawiłem do kuchenki. Gotowe przełożyłem na talerz, zdjąłem folię, odkroiłem widelcem kawałek brunatnozielonego kotleta z soi i spróbowałem. Z talerzem w ręku odwróciłem się, żeby przejść do pokoju. Nogi się pode mną ugięły. Przy stole, bokiem do Ekranu, siedział Sędzia.

Nie zajmę ci dużo czasu, powiedział. Dokładnie tyle, ile trzeba i ani minuty dłużej. Czemu stoisz?

Przynaglił mnie ruchem ręki.

Jedz, bo ostygnie.

Usiadłem. Wziąłem widelec do ręki. Przemogłem strach i spojrzałem. Sędzia był przebrany w jasnoszary garnitur i chabrową, rozpiętą pod szyją koszulę. Światło z ekranu odbijało się w wielkiej, łysej głowie. Pierwszy raz widziałem go z tak bliska.

Zerknął na topielca i powrócił spojrzeniem do mnie. Oczy pod krzaczastymi siwymi brwiami wydawały się zbyt małe w stosunku do masywnej głowy.

Byłem pewien, że się domyślisz, powiedział, wskazując brodą Ekran ze skazańcem. Ale nie w tej sprawie przychodzę.

Pochylił się i miał teraz usta na wysokości mojej twarzy. Chcę ci zadać jedno pytanie, powiedział.

Po jego odejściu długo nie wstawałem od stołu. Bałem się, że nogi mnie nie utrzymają. W końcu się podniosłem. Ręcznik się rozwiązał i zsunął na podłogę, ale się nie schyliłem. Pilotem wyłączyłem bezpośredni przekaz z kamery na placu apelowym. Przyciskiem PROJEKCJE wybrałem opcję WIDOK Z OKNA NOCĄ. Zdecydowałem się na PÓŁNOCNĄ STRONĘ MURU i kiedy zgasiłem światło, ciemność rozjaśnił tworzący duży prostokąt na ścianie trójwymiarowy obraz znajomej budowli na tle nocnego nieba.

Mur przesłaniał wszystko, wystarczyło jednak popuścić wodze fantazji, by wyobrazić sobie odległy horyzont i w miejscu, gdzie rozgwieżdżone niebo stykało się z ziemią, wypatrzyć światła Miasta. Patrzyłem na sztuczny księżyc, na konstelacje gwiazd, które miały swoje nazwy, choć nigdy ich nie poznam. Myślałem o ludziach układających się teraz do snu w dalekim Mieście, myślałem o uciekinierze, który najpewniej właśnie tam próbuje się dostać, a w uszach wciąż mi dźwięczało pytanie Sędziego.

Czy masz jakieś marzenie?, zapytał.